ROZMAITOŚCI.

Dnia 16 października, Nr. 41. roku 1846.

FAŁSZERZE.

(Ciąg dalszy.)

Jesteśmy w skromnem mieszkaniu proboszcza od św. Eustachego. Przed sędziwym plebanem, podnoszącym się z krzesła na powitanie gościa, staje i zaczyna rozmawiać z nim również stary, czcigodny jegomość, w ogromnéj *allonge*-peruce, z twarzą ocienioną nieco odblaskiem lśniącéj fijoletowéj sukni z szérokiémi rękawami, w ogromnych trzewikach, które dla słonia zrobione być się zdawały — słowem, ubrany jak janzeniści 17go wieku.

»O, mój stary przyjacielu,” — ozwał się proboszcz od św. Eustachego — »i w tak nieznośny upał chciałeś się trudzić do mnie! Wiém ja, że gorliwość chrześcijańska nie zna przeszkody, lecz szanuj przecież swoje zdrowie. Gdybyś zachorował, moi ubodzy ucierpieliby na tém, a gdybyś broń Boże!.... Ale nie myślmy nawet o tém; dzięki Bogu wyglądasz bardzo dobrze.”

»Dziekuję, księże proboszczu, za twoje łaskawe zdanie o mnie; atoli nie mogłem przemódz na sobie, aby ci tu małéj jałmużny nie przynieść, co zresztą mojemu zaoszczędzonemu kapitalikowi żadnego uszczerbku nie czyni.”

»Znowu pieniądze dla moich ubogich.”

»Nie gniewaj się księże proboszczu, przynoszę tylko 5000 liwrów.”

»Ależ to za wiele! Będę musiał pana wkrótce prosić, abyś do innéj parafii się przeniósł; gdyż w mojéj niezadługo ubogiego więcéj nie będzie. Pięć tysięcy liwrów!”

„Tylko 5000, księże proboszczu; 1000 dla więźniów za kradzież, 1000 dla domu poprawy uwiedzionych białogłów, 1000 na okup więźniów w Algierze i innych państwach Barbaresków, 1000 na zakupienie obrazu św. Cecylii, który każesz zawiesić w kaplicy téj świętéj.”

»Dobrze więc, przyjmuję; bo któżby ci mógł co odmówić; lecz pod jedynym warunkiem, abyś mi w następnych trzech miesiącach ani szeląga nie przyniósł.”

»Nie, tego, księże proboszczu, przyrzec ci nie mogę.”

„Zobowiązuję pana do tego. Zatrważasz mię niewyczerpaną dobroczynnością; zwłaszcza gdy mi swoje nazwisko i mieszkanie zamilczasz. Dlaczegoż się ukrywać, jeźli się tak w duchu ewangelii postępuje! Przebacz pan mojemu, już nie raz powtarzanemu pytaniu: czy nie masz dzieci? krewnych? ubogich przyjaciół? albo czy twoja spaniałomyślność komu krzywdy nie czyni?”

„Nikomu, księże proboszczu; wszyscy moi krewni są majętni; nie mam téż żadnego przyjaciela, któryby mojéj pomocy potrzebował.”

„Uspokajasz mię pan tém zapewnieniem; ale czemuż nie chcesz w takim razie udzielić nazwiska swego ludziom, którzy cię błogosławią, i radziby cię znali.”

„Żal mi jest, księże proboszczu, wszelako muszę ci powiedzieć, iż moje drobne jałmużny pod warunkiem zupełnego milczenia i najściślejszéj bezimienności dawcy, nadal parafiję pańską wspiérać mogą.”

Zacny pleban westchnął, i rzekł daléj: »Wszakże obiecałeś mi pan być na mojém kazaniu w niedzielę.”

„Nie omieszkam, księże proboszczu.”

„Na moich nieszporach z muzyką?”

»Nieochybnie, księże proboszczu.”

»I pozwoliłeś mi tuszyć sobie, iż w razie śmierci pana Hudguenier, mego przełożonego kościelnego, raczysz objąć miejsce jego.”

»Ja przełożonym kościelnym u św. Eustachego! Ha, niech i tak będzie; lecz zawsze pod tym jedynym warunkiem, aby moje nazwisko i mieszkanie...”

»Pan trwasz niezłomnie w swojém postanowieniu!”

„Niezłomnie!”

Poczém stary dobroczyńca parafii św. Eustachego zabrał się do wyjścia, a ksiądz proboszcz wstał także, aby go wyprowadzić. Będąc już u drzwi, rzekł tajemniczy nieznajomy do plebana:

Przyszła mi témi dniami myśl do głowy.”

„I jakaż, mój łaskawy panie i dobrodzieju?”

„Oto myśl założenia domu ochrony dla starych duchownych, którzy już nie mają dość sił fizycznych i moralnych, aby nad zbawieniem swych owie-

czek pracować mogli. Zamiast zostawienia ich w nudach i samotności, zapewniłoby się im błogi spokój na łonie dostatku, mogliby mieć dobre jadło, ogrody do przechadzki, muzykę religijną, doborną biblijotekę — słowem przybytek spoczynku, cnoty i szczęścia.»

Ksiądz proboszcz rozpływał się we łzach radości.

„Obliczyłem," — mówił nieznajomy dobroczyńca dalej — „że koszta budowy i utrzymanie zakładu w pierwszym roku nie przechodziłyby milijona; w następnym zaś roku wystarczyłoby dwakroć stotysięcy liwrów. O, jakąż pociechą napełnia mię myśl założenia takiego domu! Gdybyś księże proboszczu był dla mnie tak pobłażającym, jak nim dla całego światu jesteś, tedy nie sprzeciwiałbyś się temu najgorętszemu życzeniu życia mojego."

»Jednakże chciej zważyć....» Ksiądz proboszcz nie mógł dalej mówić, gdyż zarzut, który miał uczynić, wydał mu się tak mało ważnym, iż wolał go zamilczéć. Zresztą jakiż zarzut można było uczynić panu milijonowemu, który dobroczynnémi dziełami nieba dostępić usiłuje. »Obaczymy,» — odrzekł ksiądz proboszcz — »pomyślę o tém.»

»Milijony leżą gotowe;» wspomniał stary dobroczyńca.

»Tak? Leżą gotowe! Strzeżże się pan dobrodziéj, aby go nie okradziono; żyjemy w zbyt niegodziwych czasach, mój zacny przyjacielu.»

»Nie lękaj się, księże proboszczu; jestem ja dość ostrożnym; mam żelazne skrzynie, podziemne sklepienia, rygle.... A więc rzecz ułożona,» — dodał — „za kilka dni przyniosę plan fundacyi."

„Dziéj się wola boża;» — rzekł proboszcz — »przyniéś pan."

„Do zobaczenia więc, księże proboszczu.»

„Do zobaczenia, nieoceniony przyjacielu. A szanuj swoje zdrowie.»

Nieznajomy wyszedł. Zwracając się ku ulicy du Roule, aby ztamtąd wzdłuż brzegów Sekwany do swego odległego przedmieścia się dostał; ujrzał on wytwornie ustrojoną Aryjolinę, która w otwartym powozie na operę jechała.

Stary fałszerz, ten sam który dziś w nocy jéj śmierci żądał, a teraz u proboszcza hojną acz w fałszywéj monecie składaną jałmużną sumienie chciał uspokoić; skulił się na widok Aryjoliny, zacisnął kapelusz na oczy, i pragnąc być niepostrzeżonym, zemknął chyłkiem w ciemny labirynt uliczek, w których pośrodku dziś „targowla mączana" się znajduje.

* *
*

Rozpodzielenie darowanych Aryjolinie trzechkroć stotysięcy luidorów nastąpiło w oznaczonych terminach. Obadwaj jéj bracia i ojciec otrzymali z niejakiém zdumieniem nadesłane sobie sumy i stosownie do swoich potrzeb niémi rozporządzili; co do owych stutysięcy, które Aryjolinie osobiście przypadły, te zostały także niezwłocznie użyte, i to w sposób, jaki łatwo można było przewidzieć. Długu, rozumi się, ani jednego nie zapłaciła, lecz owszem nowe zaciągnęła; tylko hrabia de Faab doznał jéj spaniałomyślności. Rodakom jego, czekającym nań w Malcie od kilku miesięcy, posłano 50,000 liwrów, a tymczasem zajęto się wyszukaniem nowych środków ku zakupieniu i uzbrojeniu okrętu, któryby naszą parę królewską do Indyjów zawiózł. Im dłużéj hrabia de Faab nad témi, tak niespodzianémi pieniądzmi rozmyślał, tém mocniéj był on przekonanym, iż mu je przysłał rejent, ukryty nieprzyjaciel Anglików, i nie było téż nic łatwiejszego, jak sobie to wytłumaczyć. Człowiekowi tak ciekawemu i ciągłych rozrywek pragnącemu, jakim był rejent, nie mogło żadnym sposobem ujść nieco rozpustne życie, jakie hrabia de Faab prowadził. W poufnych doniesieniach, które rejentowi nadmiar do smaku przypadały, nadmieniła mu przebiegła policyja o miłostkach między hrabią de Faab a jedną z najsłynniejszych dam modnych, jakoteż o ich ustronném pożyciu w małym domku na przedmieściu. Dubois resztę uczynił; jego przeważny wpływ na umysł księcia Orleańskiego skłonił tegoż do użyczenia duńskiemu Ferdynandowi Kortezowi pomocy w jego romantyczném przedsięwzięciu. —

Wystrojona na festyn, mający się odbyć w czarodziejskich ogrodach Soubise przy ulicy de Braque, oczekiwała Aryjolina swojego wielbiciela, siedząc na samém krawędziu krzesła, z obawy aby swéj pysznéj sukni z lyońskiego brokatu nie zmięła. Poniosłszy już nie jędnę naganę za opóźnienie się, nie dopuścił hrabia de Faab tym razem czasu Aryjolinie, aby znowuż fryzurę roztérhała a wreszcie małą perukę pod strop na boginią miłości cisnęła. Pospieszył owszem co tchu na ulicę Cerisaine, i stanął jaśniejący dumą przed Aryjoliną.

„Mówiłem z rejentem;» — było jego piérwsze słowo u wnijścia — »co za jenijusz! Co za rzadki jenijusz! To mi dusza królewska!»

»Usiądź, kochany hrabio;» — rzekła Aryjolina — »te akademiczne pochwały unużają.»

„O, nie drwij pani ze mnie.»

»Pozwól pan, abym cię wachlarzem owiała. I cóż dalej?»

„Przyjął mię z najpoufniejszą uprzejmością; musiałem usiąść; tak, musiałem usiąść.»

„Jeżli pan każde słowo chcesz powtarzać, tedy opowiadanie jego dwójnasób dłużéj potrwa, i zapewne dopiéro pojutrze na festyn pojedziemy.»

„Czyż wiesz pani, czém jego król. wysokość był zajętym?»

„Sapaniem.»

»Nigdybyś pani nie zgadła.»

»Nie lubię zagadek; proszę mi wyraźnie powiedzieć.»

»Rejent ćwiczył się w naśladowaniu monet.»

„I on także?» zawołała Aryjolina, gryząc się w usta.

„Jakto, i on także? Ale rozumiém panią. Słyszałaś pani bez wątpienia, iż Paryż od dni kilku fałszywémi luidorami jest zasypany. Mówiliśmy o tém z jego wysokością, który raczył pokazać mi kilka fałszywych monet, sfabrykowanych przez niego samego na wzór onych, jakie teraz w powszechnym są obiegu.»

„Doprawdy?»

»I zaręczam panią, że luidory rejenta są jeszcze zwodniejsze na oko, niż tamte. Wiész pani, iż jego wysokość posiada gruntowną wiadomość fizyki i chemii. Tak jest, bawi się fałszerstwem.»

»Piękna zabawka;» rzekła Aryjolina zmieszana.

»Tak piekna, że jutro trzej fałszerze na placu de Grève kołem łomani będą. Chcesz pani może przypatrzyć się traceniu?»

„Obaczymy. Ale już późno. Festyn w ogrodzie zapewne już się zaczął. Pójdźmy, pójdźmy.»

„Jeszcze pani nie wszystko opowiedziałem.»

»Cóż jeszcze?»

„Książę-rejent był łaskaw ozwać się w żarcie do mnie, abym złoto, jakie mam przy sobie, dał mu do spróbowania.»

„A panżeś co nato odpowiedział? Może nie miałeś złota przy sobie? To się czasem wydarza. Jakże? Ale opowiész mi to pan na festynie.»

„I owszem, miałem złoto przy sobie.»

Aryjolina powstała szybko i poszła do źwierciadła, przypatrzyć się, czy jéj przy toalecie nic nie brakuje. Pobladła.

»Jesteś pani w istocie zachwycającą!» przerwał hrabia. „Otóż podałem księciu-rejentowi cztéry luidory, które, jak się natychmiast pokazało, były fałszywe. Książę roześmiał się i rzekł żartobliwie: »Panie hrabio, nosisz pan fałszywą monetę; każę cię przyaresztować.» Ja roześmiałem się jeszcze głośniéj od jego wysokości.»

»To zaprawdę rzecz dziwna;» nadmieniła półgłosem Aryjolina, która tymczasem pobielała, jak jéj korunkowa szlarka od rękawów.

»Książę-rejent zaś dodał z nadzwyczajnie miłym uśmiechem: »Oszukano cię, panie hrabio; nie dowierzaj złotu, które jest w kursie. Radzę panu przyjmować raczéj bilety bankowe Law'a. Kto jest ten Law, moja luba?»

»Nie wiém.»

„Ależ się nie gniewaj, droga przyjaciółko! Nie gniewaj się, proszę. Pojedziemy natychmiast do ogrodu. Tylko ci dokończę opowiadać. — »Miłościwy książę,» rzekłem do rejenta, »masz równie wzniosłą duszę, jak niezrównany rozum.» — Filip Orleański zdawał się być zdziwiony tym komplementem.»

„I mnie on dziwi;» przejęła Aryjolina.

„I panią? Czyż pani się nie domyślasz, że chciałem dać do zrozumienia rejentowi, iż wiém bardzo dobrze, czyjéjto spaniałomyślności otrzymany zasiłek pieniężny zawdzięczam.»

„Przyznam się panu, że i tego bynajmniéj nie pojmuję.»

»Pani, widzę, zupełnie w tym względzie do rejenta podobnaś. Ale dla czegoż? Czyżto nie pani sama myśl mi nasunęłaś, że owe stotysięcy liwrów od rejenta pochodzą?»

„Och, mój Boże, i pan mu za nie podziękowałeś?»

„Oczywiście.»

„Niebaczny!»

»I pani to ganisz, Aryjolino?»

„Co za szaleństwo! Czy pan rozum straciłeś? Zkompromitowałeś się pan.... Boże, cóż ztąd wyniknie?»

„Uspokój się pani, nic nie wyniknie Dawałem mu nadaremnie do zrozumienia, iż to bardzo szlachetnie z jego strony, wesprzéć moje zamiary darem stutysięcy liwrów, a oraz bardzo dowcipnie, wtrącić w ten dar kilka przez niego samego zfabrykowanych monet. Książę udawał ciągle, jakby mnie nie rozumiał. Jest on zanadto spaniałomyślnym, aby sobie nadawać pozór, jakoby pamiętał, iż komuś dobrodziejstwo wyświadczył, a przyjmować otwarte podziękowania, sprzeciwiające się jego polityce, tego mu przyzwoitość dyplomatyczna nie dozwala. Zresztą, cóżby nawet zależéć miało na tém, gdybym się był omylił? Byłoby to tylko podziękowaniem za przysługę, któréj mi nie wyświadczył. Podobne nieporozumienie nie jest przecież występkiem. Zkądże więc trwoga pani?...»

„Zapewne, jestto tylko nieporozumienie;» — potwierdziła Aryjolina — »i miałam niesłuszność, powiększając niebezpieczeństwo nieprzezorności pana. Ja sama winną jestem temu fałszywemu położeniu, w jakiém pan przez chwilę się znajdowałeś. Przyznaję się, iż ja to byłam, od któréj pan mylne powziąłeś zdanie, jakoby rejent panu te sumy był nadesłał. Lecz pójdźmyż już na festyn.»

„Tak, pójdźmy. Powóz mój czeka na dole. Jednakoż,» — dodał hrabia, zajęty ciągle tąższamą myślą — „jeźli to nie rejent owe pieniądze mi przysłał, zkądże one pochodzą?»

„Zkąd?... Któż wié?... Być może od.... ministra.»

»Tak, niezawodnie.... od ministra. Pójdźmy Aryjolino, pójdźmy.»

»Comtois!» rzekła Aryjolina zcicha do służącego, przechodząc przez przedpokój. »Jeźli o 11éj godzinie nie wrócę, tedy spal moje listy, pozamykaj wszystko, weź sto luidorów z mojego biórka, i czekaj mię z ubiorem męzkim w lesie pod Senart, koło piramidy, na drodze do Genewy.»

* * *

W przepysznym ogrodzie pałacu Soubise zgromadzał się co tygodnia dobór całego towarzystwa paryzkiego, a często i znakomitsi cudzoziemcy tam przybywali. Z wielu rozmaitych powodów unikali poważniejsi ludzie tych schadzek, a mianowicie ich żony i córki były ztamtąd surowo przez nich wykluczone. Zostawiono tam wolne pole młodym margrabiom i owym pięknym damom, coto nie przyjmowane na salonach pałacu królewskiego, i nie bardzo tém zmartwione, nie chciały być niczém więcéj, jak, mówiąc owczesném wyrażeniem — „pięknémi, wesołémi damami o bardzo wyciętych u gorsu sukniach”, lubiącémi przedewszystkiém niszczyć swoich kochanków. Wzorem pań takich była Aryjolina, kochanka hrabiego de Faab. Lubo dopiéro lat 20 licząca, miała ona już romansów bez liku. Książęta, margrabiowie, hrabiowie, baronowie — wszystko to klęczało już koleją u nóg jéj, i znaczną część majątku na nią łożyło. Kleopatra strawiła perłę nieocenionéj wartości; Aryjolina byłaby cały sznurek takich pereł strawiła. Podobne kobiety miewają nieraz dziwne zachcenia. Mogąc z swoimi wielbicielami trwonić daléj dochody najpiękniejszych dóbr Francyi; wstrzymała się nagle Aryjolina w tym tryjumfalnym pochodzie, zstąpiła ze swego słoniowego rydwanu i oddała serce nieznanemu awanturnikowi. Wprawdzie był ten awanturnik młody, przystojny, miły i dobrego urodzenia, lecz jego stosunki finansowe dolegały mu tak ciasno i niewygodnie, jak suknie męzkie kobiécie. Miawszy konie, służbę, kobierce, i piękne sprzęty, zdało się Aryjolinie zabawną rzeczą mieć koronę na głowie. Takie zachcenia zmieniały się co miesiąca, a za kilka tygodni mogła Aryjolina zachcieć hołdów piérwszego lepszego linoskoczka.

W chwili gdy hrabia de Faab z Aryjoliną do ogrodu wstąpili, miano go właśnie oświetlać. Cały ogród jaśniał w różnobarwnych płomieniach, i woniał przyjemnémi zapachy. Wszędzie widać było swobodne lecz nie wymyślne stroje i niewymownie powabne, niewymuszone oddanie się wszelkim natchnieniom wesołości. Z przezroczystych pawilonów brzmiała muzyka włoska towarzysząca spiewom, których słowa byłyby nawet sam karmin zarumieniły; lecz udawano, jakby nikt po włosku nie rozumiał. Tu, jak komu się podobało, można było jeść, bawić się, a nawet płacić, podług upodobania; gdyż w ogrodzie Soubise panowała wolność czynienia wszystkiego po własnéj myśli.

Niedaleko od wnijścia uderzył jakiś młody mężczyzna hrabię de Faab po ramieniu i rzekł doń:

„Czy wiesz pan, kto naszym dziesiejszym jest Amfitryjonem?”

„Nie wiém, panie margrabio.”

„Jestto ten sam, który nas niedawno owém śniadaniem uraczył, chociaż sam nie był w domu, gdyśmy od szwedzkiego ambasadora wyszli.”

„W istocież ten sam?”

»A zresztą mniejsza o to, czy on nas osobiście czy nie osobiście przyjmuje, jest on zawsze bardzo uprzejmym i hojnym w urządzeniu festynów swych gospodarzem. Gdybyś go hrabio przódy ode mnie miał odkryć, tedy podziękuj mu od nas obudwóch. Do zobaczenia *madame.*» A rzekłszy to, znikł margrabia w oświetlonych alejach.

A więc ten sam człowiek, u którego Faab niedawno jadł śniadanie, i tym razem w ogrodzie Soubise ich podejmował. Wyjąwszy tajemnicę, w jaką sam gospodarz się ukrywał, nie było w téj gościnności nic dziwnego. Bardzo często najmowali młodzi majętni panicze ten ogród, i spraszali tam przyjacioł, i przyjacioł swoich przyjacioł na urządzoną przez siebie ucztę. Jakich pięćdziesiąt tysięcy liwrów było do tego dostateczném.

Jak wiadomo, było wówczas powszechnie w zwyczaju, iż kawaler, wprowadziwszy damę swoję do salonu, na własną wolę ją puszczał. Oboje udawali się, gdzie im się podobało, a o wyznaczonych godzinach znów się razem schodzili.

Podobnież i Aryjolina błąkała się zrazu sama jedna po alejach, i z wachlarzem w ręku, to wymierzała, to odbiérała ucinki, gdy naraz postrzegła jakąś bladą twarz w głębi gaju, dokąd ciekawość ją zagnała. W cieniu, na drewnianéj ławce siedział młody mężczyzna, i poprzez gałęzie krzewów bzowych przypatrywał się rozmaitym ruchom festynu. Chociaż to zjawisko bynajmniej strasznem nie było, przecież Aryjolina mimowolnie przed niém zadrżała. Na widok jéj, młody mężczyzna powstał, i ująwszy piękną nieznajomę za rękę, zaprosił ją, aby przy nim usiadła.

Głos jego przejął Aryjolinę trwogą i przerażeniem.

»A więc poznałaś mię pani;» — ozwał się nieznajomy — „nie mogło też być inaczéj; musieliśmy się zejść kiedyś. Widzę panią bardziéj stroskaną, niż się spodziewać mogłem. Jednakże nie trwoż się pani Jestto rzecz małéj wagi! Jeźli pani o mnie się lękasz, tedy dziękuję pani zato, lecz nie jestem bynajmniéj w niebezpieczeństwie. Złotem, które miałem przyjemność pani doręczyć, podzieliłaś się ze swoim kochankiem, i dałaś mi przeto nową rękojmię bezpieczeństwa. Zamiast obawiać się niepotrzebnie, oświadcz mi pani raczéj swoje życzenia. Może wydatki były większe od przychodu? — Ale nie zatrzymuję pani;» — rzekł nieznajomy — »każdy z gości jest zupełnie wolnym na moim balu, a osobliwie pani.»

„Jako! Panżeto!...» zawołała Aryjolina. »Panżeto jesteś...»

„Fałszerzem, którego pani znasz. Sprawia mi to przyjemność podejmować spaniale gości, aż do dnia,

kiedy wszystko się skończy. Jakże pani mój festyn się podoba?»

»Wybornie!» odpowiedziała Aryjolina, uspokoiwszy się nieco. »Tylko pan sam nie zdajesz się wiele mieć w nim upodobania.»

»Nudzę się okropnie. Myślałem już, czy nie podpalić te sale i te pawilony, aby sobie nowe wrażenie zdziałać.»

„Wielki Boże!»

„Nie lękaj się pani! Zaniechałem już téj myśli; będę się po prostu nudził.»

„Czyż pana nic nie bawi?»

»Nic. Wyjąwszy przyjemność widzenia ciebie pani;» dodał młody fałszerz zalotnie.

»A przecież pan tylu tu uszczęśliwiasz.»

»Dlatego może sam szczęśliwym nie jestem.»

„Lubisz pan tajemnice.»

„Już i to mię nudzi. Zresztą, czyż pani myślisz, że ci wszyscy ludzie, co tu się bawią, są bardziéj zadowoleni ode mnie? Bal, muzykę, przysmaki, wino, grę, widowisko, wszystko to poświęciliby oni chętnie, aby się tylko dowiedzieć nazwiska swojego gospodarza. Ta jedna myśl dręczy ich nieustannie, i jest dostateczną, aby im szczęście zatruć. Nie masz szczęścia na świecie.»

„Gdybyś pan jednak dumy zapragnął.»

»Dumy! Spojrzyj pani tamtędy! Oto w owym pawilonie są potomkowie najszlachetniejszych rodzin Bretanii. Powiedzże mi pani, który z nich najbardziéj spity? Tam, przy zielonych stolikach widzisz najhardziejszą szlachtę Prowancyi i Delfinatu, lecz sądząc po ich wyrazie twarzy, wykrzywionym najnikczemniejszémi namiętnościami chciwości, zawiści, nie należałożby ich raczéj mieć za bandytów, niż ludzi oświeconych? Owi panicze, zabawiający się tańcami, których bezwstydność samychby dragonów oburzyła; są potomkami dawnych pobożnych krzyżaków, towarzyszów broni cnotliwego Godfryda z Bouillon. Tamte niemłode sowizdrzały, prawiące damom brudne żarty, są to rajcy parlamentowi i kawalerowie maltańscy. Życzyłażbyś mi pani w istocie dumy: być tém czém oni, lub naśladować ich? Przytém jestem sam rodowitym szlachcicem. A pomiędzy nimi wszystkimi niemasz ani jednego, któregobym garścią złota do wyparcia się swoich przodków i tytułów nie przywiódł.»

Aryjolina nie spodziewała się zapewne takiéj praktyczno-filozoficznéj nauki od młodego przystojnego mężczyzny przy dźwiękach rozkosznéj muzyki, w cieniu bzów wonnych...

»Nieprawdaż, pani mię masz za bardzo surowego człowieka? Muszę więc panią rozweselić, jeżeli zdołam zegnać chmurki z tego pięknego czoła. Czy ma kochanek pani swój własny powóz?»

„Ach nie, już nie ma.»

„A zatém koléj na mnie, który po kochanku pani, jestem najlepszym jéj przyjacielem, ofiarować ci nowy ekwipaż? Jakżebyś go pani sobie życzyła? Może różowy w złote pola, z kołami w promienie słoneczne, o parze koni odmiennéj maści?»

„Pan żartujesz?»

»Jutro rano ujrzysz go u progu swego mieszkania. Racz pani pomyślić niekiedy o mnie, gdy będziesz po ulicach Paryża się przejeżdżała.»

„Co za spaniałość!»

„Ależ ekwipaż bez liberyi, byłoby to tyle co brylant bez oprawy. Upraszam panią przyjąć służbę, którą pani dobiorę: Indyjanina, Murzyna i Azyjatę.»

„To chyba sen, mój panie...»

„Przyznaj się pani tylko: widzę, iżbyś sobie życzyła mieć mały ogródek, któryby ci za cel twoich przejazdek służył. Jestto dziś w modzie. Oto mamy taki w Anteuil, w Boulogne, w Vincennes.... Proszę tylko powiedzieć gdziebyś pani wolała.»

»Vincennes! Tam jedna z moich przyjaciółek mieszka. Widzisz pan, iż wchodzę w żart jego.»

»A teraz, racz mi pani wymienić....»

»Czém się panu odsłużę?... Nieprawdaż?»

»Jeszcze nie; oznajm mi pani najprzód swoje najskrytsze życzenia. Zadowolnić panią jest łatwą rzeczą, lecz odgadnąć, niepodobieństwem. Mam za mało dowcipu na to.»

„Co za miły człowiek!» pomyśliła sobie Aryjolina, która przy ostatnich słowach fałszerza przypomniała sobie wreszcie swe Indyje wschodnie, a nawet, jakby przez mgłę, i swego hrabi de Faab, już prawie zupełnie z pamięci wypadłego. — „Ależ, zaprawdę, musisz pan być chyba synem czarodziejki, jeżli tak wszechwładnie i niechybnie wszystkiego dostąpić możesz, czego tylko zapragniesz, lub właściwie, czego inni sobie życzą.»

»Nie, pani. Czyż pani nie jesteś moją spólniczką w fabrykacyi fałszywych pieniędzy. Ściśle rzeczy biorąc, jato sam raczéj winienbym składać pani rachunek; lecz pani przyjmujesz wszystko, nie licząc się wcale ze mną. A więc, piękna moja winowajczyni, czegoż sobie życzysz? Byle tylko nie korony królewskiéj»

„Otóż właśnie jest, czego pragnę!» odrzekła Aryjolina głosem najgłębszego przekonania, i opowiedziała mu wszystkie plany zdobywcze i nadzieje królewskie hrabi de Faab. To zwierzenie się nie groziło żadném niebezpieczeństwem; fałszerz nikogo nie kompromituje.

„Szczérze mówiąc, nie widzę w tém przedsięwzięciu, chociażby się ono nawet zupełnie powiodło, żadnego osobliwszego dla pani zysku. Jakaż władza królewska dorówna władzy, jaką pani teraz wywiérasz? Najpiękniejsza, a przynajmniéj jedna z najpiękniejszych kobiet Paryża, najmilsza, najbardziéj upragniona i uwielbiana — cóżbyś pani jeszcze znaleźć mogła na tronie, czego już teraz nie po-

siadasz? Czy poddanych? A któż tu nie jest poddanym pani? Uciech? A jakież pani masz życzenie, któreby natychmiast się nie ziściło? I do tego, opuścić Paryż? Paryż? Alboż dla młodéj, pięknéj kobiéty, jak pani, jest gdzie państwo, a chociażby i państwo wielkiego mogoła, któreby Paryż mogło zastąpić?...»

„Ja też sama nad tém już rozmyślałam," — odpowiedziała Aryjolina — „lecz potrzeba mi było jeszcze cudzéj porady, abym się zupełnie nakłoniła. Przytém nie jest położenie moje tak świetne, jak je pan tu malujesz. Jużto nieraz musiałam znosić niedostatek."

„Wszak teraz stan rzeczy wcale się zmienił."

„Dzięki pańskiéj spaniałomyślności."

„I owszem, dzięki piękności pani. A zatém nie pojedziesz pani już za morze, i pozostaniesz wraz z nami?"

Ręka Aryjoliny spoczywała w ręce fałszerza?

„Otóż jesteśmy przy rozdziele warunków!" rzekła lekkomyślna Paryżanka. »Ach, drzę cała, mój panie."

„Mam tylko jeden warunek."

„Biedny Faab!" pomyślała sobie Aryjolina. »I cóżto za warunek, mój panie?" — A mówiąc to, spuściła oczy na wachlarz, leżący na jéj kolanach, i wpatrzyła się w obrazek, wymalowany na nim przez sławnego artystę Andran.

„Pani przystaniesz zapewne na ten warunek. Będziesz miała wszystko, co tylko na świecie za pieniądze mieć można, pod tym jednym warunkiem, abyś nie była moją kochanką."

„Ha, tego za wiele!" rzekła Aryjolina wstając, i nie wiedząc, co sobie właściwie o tém pomyślić. »Jakiż osobliwszy dziwak! Ale piękny, nie ma co mówić. Cóż za oziębłość przy tak ogromnym majątku! A jaki niezwyczajny, głęboki umysł! Zachwyca mię, czaruje! Jestem cała przeistoczoną! Zda mi się, że go kocham. Nie chcieć mię mieć za kochankę, a zbogacać mię za to! — To jest szyderstwem bliskiém bezczelności. Czyż on mi zabronić może, abym w nim upodobanie miała? Czuję wyraźnie, iż go kocham. Jużto mnie zawsze coś tak niespodzianie zachwyci. Bo i dla czegoż nie mam być jego kochanką? Ach, hrabio de Faab, gdzież się podziałeś, gdzież się podziałeś!"

* *
*

W tejsamej chwili gdy młody fałszerz zpoza krzewów bzowych się wymknął, jakaś ciemna postać zastąpiła mu drogę, i rzekła surowo:

„Lekkomyślny, ateisto, szaleńcze! Cóż tu robisz?"

»Rozrywam się, mój ojcze."

„Czyżto nas Bóg na to stworzył, abyśmy się rozrywali! O, marnotrawny synu! Zapominasz o Bogu za życia, on o tobie przy śmierci zapomni. Maszże ty jakie dobre uczynki, któreby za tobą przemawiały? Nudzisz się, gdy ci przyjdzie być cnotliwym, wspierać ubogich, nawidzać więźniów i chorych."

»Ojcze, nie zmuszaj mię do przypomnienia ci, że dla fałszerzów miejsca w niebie niéma."

„Tyśto fałszerzem, który rozrzucasz złoto jak plewę, stroisz niém nierządnice, i bogacisz złodziejów. Takie tylko złoto jest fałszywém, a tyś w saméj istocie fałszerzem. Ale oileż ja nim jestem? Jakiż pożytek miałem ja kiedy z tego złota? Nie pijam jak wodę, karmię się tylko jarzynami, i sypiam na słomie! Fałszerzu! Po raz ostatni, synu mój! Porzuć to rozpustne życie, albo ja sam pojdę i odkryję nasze rzemiosło. I wieszże ty, dla czego dotąd nie uległem popędowi odkrycia nas przed policyją? Ponieważ jesteś bardzo zręcznym pracownikiem w naszéj sztuce, a ja zręczności twéj potrzebuję. Muszę mieć milijon w hiszpańskich kwadruplach; obaczno czybyś umiał trzykroć stotysięcy sztuk podług tego tu wzoru zrobić?"

»W trzech dniach będziesz ojcze, miał 10.000 zupełnie podobnych; lecz obwódka jest trudna do naśladowania."

»Czy tak ci się zdaje, mój kochany?"

„I złoto bardzo giętkie."

„W tém moja głowa, moj drogi; ty jedynie o dobry odcisk się postaraj."

„Liczba roku jest prawie niepodobna do odwzorowania."

„Ach nie mów tego, mój synku; drzę cały."

„Nie bój się, ojcze. Już ja koniecznie jakoś ją podrobię."

„Dobrze. Do zobaczenia więc. Oczekuję cię w pracowni."

Poczém nie obracając się w żadną stronę, z obawy, aby widok tylu obnażonych ramion i powiewających wstążek, jego dusznemu zbawieniu nie zaszkodził; wyszedł stary fałszerz z ogrodu, i stanąwszy za bramą, przeżegnał się pełen zgrozy znakiem krzyża świętego. Ztamtąd pospieszył do Neuilly, i zapuściwszy się w podziśdzień tamże jeszcze istniejące podziemia, szedł od piwnicy do piwnicy aż do tajnej siedziby fałszerzów, których główna pracownia pod ulicą Cerisaine się znajdowała.

(Dokończenie nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 40ty i zawiéra: 1) O oszczędném użyciu obornika w rolnictwie. (Dokończenie.) 2) Kiedy należy spuszczać drzewo na budulec, i jak się z niém obejść przed i po spuszczeniu. 3) Pewny środek przeciw ogryzaniu wełny. (Artykuł nadesłany przez Dr. Franciszka Betzhold.) 4) Wiadomości handlowe i przemysłowe. 5) Ogłoszenie przedpłaty na Tygodnik rolniczo-przemysłowy.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją **Tomasza Kulczyckiego**, wyszedł nr. 21y i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) O wpływie macierzyńskim. (Dokończenie.) 2) Słów kilka o obecnym stanie teatru we Francyi. (Artykuł wyjęty z dziennika francuzkiego.) 3) Nowości literackie.

Z Przemyśla. W drukarni biskupiéj obrz. gr. k. opuściła prasę: *Grammatyka języka ruskiego*, napisana przez ks. Józefa Łozińskiego. Tymczasowo tylko u wydawcy, mieszkającego w Medyce, nabyć jéj można. Cena egzemplarza jest: 1 złr. m. k. — — Grammatykę tę mamy przed sobą i możemy śmiało zalecić ją miłującym język słowiański, gdyż ona mieszcząc w sobie z tła i ducha jego, dla narzecza mało-ruskiego porządnie ułożone i uzasadnione prawidła; objaśnia je oraz treściwémi uwagami i porównaniem z językiem polskim, pokrótce wprawdzie, ale dostatecznie i przekonywająco. Ze wstępu jak i z całości dzieła okazuje się, że autor rozważnie i zasobnie zabiérał się do swéj pracy, a wolen od uniesień stronniczych, miał tylko rzetelną prawdę nauki na celu. *P. R.*

Życie wszędzie! Czém daléj umiejętności postępują, tém szérzéj rozprzestrzenia się dziedzina życia przed wzrokiem ludzkim, a tam, gdzie dawniéj tylko martwe, bezwładne masy spoczywać zdawały się, teraz coraz obfitsze miryjady żywotnych, spółdziałających stworzeń zdumionym oczom badacza się odkrywają; bierne, gnuśne posłuszeństwo nieorganicznego świata znika, a natomiast pojawia się żywotne rojenie się organizmów samodzielnych, lecz tylko na to istnących, aby swoim bytem wyższemu, doskonalszemu bytowi służyły. Nie tylko całe przestworza ziemi, wybrzeża, wzgórza i t. p. okazały się być skupiskiem nagromadzonego drobiazgowego życia; ale owszem to samoistne, tysiącorakie życie wciska się nawet, jako życie cząstkowe, w obręby istnącego już indywidualnego życia, i to nie tylko, jak np. solitery lub pasożyty, aby to indywidualne, samosobne życie zniszczyć, lub ujmą jego, swój własny byt utrzymywać; lecz aby tém swojém drobném, cząstkowém życiem, do tém dzielniejszego rozmożenia żywotności całego większego ciała dopomódz. Pominąwszy mnogie przykłady, jakie nam w tym względzie, niższe warstwy żyjącego stworzenia, mianowicie różne gromady polipów nastręczają, ale nawet w najwyższych sferach świata źwierzęcego postrzegamy ciągłe pojawianie się tak zwanych spermatozoów, czyli żyjątek nasiennych, będących niezbitym dowodem, że do zdrowego źwierzęcego i człowieczego organizmu należą osobne, do składu jego wchodzące, jednak samodzielnie ożywione cząstki, które wprawdzie życie swoje z ogólnego życia całego ciała czerpią i utrzymują, wszakże nawet i poza obrębem tegoż ogólnego życia swój byt osobny dłużéj lub krócéj utrwalają, i samodzielne ruchy i zmiany kształtów objawiać mogą. Najlepszém stwierdzeniem tych uwag jest ogłoszone niedawno zdanie francuzkiego chemika Dumasa, utrzymujące, iż owe drobniutkie czerwone kulki, z jakich właściwie krew się składa; mają pewne samodzielne życie, które nawet po oddzieleniu onych od całego organizmu, trwa jeszcze nieco. Wnosi to pan Dumas ztąd, iż te kulki, podług jego doświadczeń, przy wolnym napływie powietrza, jeszcze dość długo swoję poprzednią formę i barwę zachowują, zaś po odjęciu im powietrza, jak Dumas mówi, duszą się, to jest w kolor fijoletowy przechodzą, i rozpływają się, poczém dopiéro przefiltrować je można.

Ibrahim-basza, od niedawna z powrotem w ojczyznie bawiący, dał piękny przykład skarcenia fanatyzmu i zniesienia niewoli; co jeszcze bardziéj wzmogło to poważanie, jakie powszechnie dla niego miano. Umarł był najwyższy rabin Żydów egipskich, i należało oddać mu cześć ostatnią, jaką społeczeństwo winno naczelnikowi każdéj religii. Lecz obawa, aby wściekli fanatycy, tego obrzędu pobożnego nie zaburzyli; skłoniła gminę żydowską do zażądania straży bezpieczeństwa od gubernatora kairskiego, który tego odmówił. Postanowiono więc udać się do samegoż Ibrahima-baszy, gdy tenże był właśnie w wielkim dywanie. Jakoż w saméj rzeczy została deputacyja przypuszczoną, a książę, po wysłuchaniu prośby, zwrócił się do obecnych i rzekł: »Odkąd wróciłem z Europy, jestem sam z siebie mocno niezadowolonym. Nie tajmy sobie tego, iż mamy jeszcze bardzo wiele do zdziałania, aby, chociaż nie na równi stanąć z Europą, przynajmniéj zdążyć w téj mierze na drogę postępu. Widziałem, jakiéj opieki rządy europejskie wszystkim wyznaniom bez wyjątku udzielają, widziałem ich uszanowanie dla każdéj religii, i nie ścierpię odtąd, aby w Egipcie inaczéj było; wszystkie religije powinne być tak szanowane, jak nasza własna, winni jesteśmy wszystkim tożsamo bezpieczeństwo, i smuciłoby mię bardzo, gdyby się inaczéj dziać miało. Dlatego zamiast eskorty, z kilku żołnierzy złożonéj, pozwalam wziąć 3000 żołnierzy, *a mój własny powóz zawiezie trumnę na miejsce pogrzebu.*« — Poczém obróciwszy się do deputacyi żydowskiéj, dodał: »Nie lękajcie się zaczepki, oddając cześć ostatnią waszemu naczelnikowi duchownemu. Bądźcie spokojni i pamiętajcie, iż Egipt stanie się krajem, w którym wszystkie wyznania zupełnéj swowody doznawać będą.« — Dnia zaś następnego kazał Ibrahim wszystkich mameluków i niewolników przywołać, i obdarzył ich wolnością, pozwalając im zostać przy nim, jeźli są radzi z niego, lub szukać sobie gdzieindziej lepszego sposobu życia. Dotąd żaden z wyzwolonych nie chciał go opuścić, i owszem wszyscy przyrzekli, na zawsze przy nim pozostać.

Poszukiwacze złota. W Meksyku jest osobna klasa ludzi, nazywających się *gambusinos*, czyli poszukiwacze złota, którzy na los szczęścia po kraju chodzą i ostrzem długiéj lancy wszystkie kamyki roztłukują, gdzie złoto znaleźć mniemają. W pomyślnym razie niecą wielkie ognisko i topią zawarty w kamykach kruszec. Poczém sprzedają takowy piérwszemu lepszemu przechodniowi i ciągną daléj. Podobnież wędrują oni nieraz z całą rodziną wzdłuż rzek złotonośnych, wypłukując ich kosztowny piasek, i zachodzą tym sposobem częstokroć aż w odległe pustynie, zamieszkane przez samych Indyjanów, gdzie oparłszy się wszelkim niebezpieczeństwom głodu, pragnienia i dzikich źwierząt, śmiercią śmiałość swą przepłacają. Jeżli im się zaś powiedzie uniknąć zguby, bywa ta ich śmiałość często hojną zdobyczą wynagradzana. Natenczas wracają zbogaceni do domu, i opowiadają cuda o wynalezionéj przez siebie krainie złota, dokąd natychmiast tysiące innych »poszukiwaczy« wyruszają. Meksyk dostarcza coroku około 10 milijonów fr. złota, a dobra czwarta część téj sumy wychodzi od tych błąkających się po kraju gambusinosów.

Emancypacyja muzyki. Całe muzykalne Włochy obiecują sobie po teraznieyszym sławnym kompozytorze Verdi zupełnego przetworzenia opery. Ze wszystkich nowszych kompozytorów zwraca on największą uwagę na chóry. Jego »*Nabucco*« zdaje się

być z tego względu zapowiednią wcale nowéj ery w muzyce dramatycznéj. Chóry występują w téj operze daleko samodzielniéj i czynniéj niż to zwykle dotąd bywało: i masy zaczynają się ożywiać i poruszać. Nie chcą one być już samą martwą machiną, wydającą jużto smutne już wesołe tony, stosownie do tego, jak przewódzca, w którego ręku one się znajdują, jest usposobionym; lecz chcą samosobnie występować i działać. I w tychto głównie chórach zawarte są główne żywioły przyszłej opery.... Ciągle nas wprawdzie dręczą jeszcze miłośnémi żalami i uniesieniami pojedyńczych indywiduów; ciągle nam wprawdzie jeszcze tylko najsłabowitsze strony ludzkiéj natury w operze przedstawiają; co w życiu i w książkach dawno już postarzało, to w operze jeszcze za nowinę uchodzi — ależ témci większą potrzebą jest, i muzykę także z życiem skojarzyć. A może się to stać głównie przez to, iż da się chórom przewagę, a stosownie do tego i od tekstów żądać się zacznie, aby one sympatyję ludu wywoływały.

Szpital magnetyczny. Towarzystwo zwolenników mezmeryzmu postanowiło założyć w Londynie szpital, w którym chorzy wyłącznie podług zasad Mesmera leczeni być mają. Mianowicie wydział chirurgiczny rokuje wielkie nadzieje przedsiębiorcom, ollc że operacyje wykonane w śnie magnetycznym, odbywają się, jak wiadomo, bez wszelkiego bolu. Zaraz przy pierwszém zgromadzeniu się towarzystwa wpłynęła z dobrowolnych datków suma 1000 funt. szterl. Hrabia Ducie przyjął protektorat nad tym zakładem.

Korzyści trzymania i czytania dzienników są powszechnie daleko większe, niż je ludzie w swojéj niewdzięczności zwykle uznają. I tak np. umarł niedawno w Madrycie pewien kupiec, mający 103 lat, który przez 86 lat codziennie po 4 godziny dzienniki czytał i częstokroć wyznawał, iż tylko to zamiłowanie w dziennikach i ciągłe zajmowanie się zaszłościami świata, zachowały mu czérstwość i zdrowie, i do tak późnego wieku mu dopomogły. — Z szczególnéj życzliwości dla naszych czytelników, którzyby chętnie późnéj starości dożyć chcieli, gotowi jesteśmy dostarczyć jeszcze egzemplarzy naszego pisma, ile ich tylko staje.

Dwaj osobliwsi uczeni, Anglik Sanderson i Francuz Saboureux, są najlepszym dowodem, iż pracą i wytrwałością wszystkiego dokazać można; tamten, będąc z urodzenia ślepym, pisał przecież o gwiazdach i kolorach, ten, lubo głuchoniemy z natury, nauczył się 7u języków wschodnich, i sam w nich późniéj nauki udzielał.

Pospólstwo paryzkie. Zapewne w żadném mieście stołeczném nie panuje między pospólstwem tak żywe uczucie honoru jak w Paryżu. Czytamy o tém kilka ciekawych przykładów. I tak, dnia 12go z. m. wieczorem między 5tą a 6tą godziną spadł na placu Vendôme istny deszcz banknotów po 1000 i 500 franków. Powodem tego miał być nagły pęd wiatru, który ten skarb z biura zamożnego hotelu uniósł i po ulicy rozsiał. Wszystkie te banknoty, pozbiérane przez uliczne pospólstwo, zostały natychmiast właścicielowi zwrócone, a po rychłém obliczeniu okazało się wszystkiego 123.500 franków. Cała uniesiona paczka jednak składała się ze 125.000 franków, a zatém niedostawało jeszcze dwóch banknotów po 1000 i 500 fr. Te zaniósł wiatr na dach, zkąd je dopiéro po długiém szukaniu, dwaj uczciwi kominiarze wydostali. — Nieco dawniéj donoszono o krwawéj bójce szynkowéj między kilką przedmieszczan i trzema uzbrojonymi żołniérzami. Większa liczba mieszczan przemogła, a żołnierze zostali zbici i pokaleczeni. Lecz mimo wszelkiego niebezpieczeństwa, nie dobył żąden z żołniérzy broni, lękając się postąpić niehonorowo, gdyby żelaza przeciw bezbronnym użyli.

Dziwactwo angielskie. Sławny sir John Price miał z kolei trzy żony. Pierwsze dwie zostały na jego rozkaz nabalsamowane i jako dwa posągi po obu bokach łóżka ustawione. Trzecia żona, gdy miała iść za niego, przelękła się tych mumij, i nie chciała mu wprzód oddać ręki, dopokąd jéj poprzedniczek nie pogrzebał. — Tożsamo zdarzyło się też doktorowi van Burchell. W połączeniu z dwoma innymi lekarzami nadał on ciału swojéj nieboszczki żony zupełny pozor życia. Wsączono czerwonéj farby w żyły, przezco usta i lica cerę żywotną zachowały, wypchano żołądek i wszelkie otwory ciała substancyjami niedozwalającémi psucia się jego, wstawiono śklanne oczy miast żywych, zaczesano starannie włosy, włożono ciało w otwartą trumnę, wylaną gipsem, i nakryto ją taflą kryształową. Tak leżała pani Burchell, na pozór żywa, przez lat pięć w sypialni męża, aż wreszcie druga żona oddalenia swojéj rywalki na panu Burcheli wymogła.

Rozwiązanie wielkiego zadania. Powiodło się ono, jak paryzkie dzienniki twierdzą, marszałkowi Bugeaud w Algeryi. Tém zadaniem jest: nieustanne marsze odbywać, ale ani kroku daléj nie postąpić.

Nowy sposób kończenia pojedynków. Słychać o szczególniejszym pojedynku, wydarzonym ostatniemi czasy w Baden-Baden, a mającym za głównych aktorów, pewnego bogatego Anglika i sławnego pojedynkarza, Prusaka. Umówiono strzélać się na piętnaście kroków. Anglik, któremu losem piérwszy strzał przypadł, strzelił i chybił. Przyszła więc koléj na Prusaka, lecz w chwili, gdy ten za kurek już miał pociągnąć, krzyknął Anglik: »*Stop, stop! J'll buoy your shot!* — Stój, stój! Odkupię ci twój strzał!« — Prusak namyślił się i przystał. Po krótkim targu zapłacił Anglik 1000 funt. szterl. gotówką.

Cywilizowanie się fijakrów paryzkich. Spółcześnie donoszą o dwóch ważnych zjawiskach w świecie fijakrów; pierwszém jest ogłoszenie osobnego dziennika dla nich, mającego ich uczyć ogłady i grzeczności, drugiém — iż większa część fijakrów paryzkich wpadła na dobry pomysł, aby mieć przy sobie w powozie świeże dzienniki, przezco wsiadający, zamiast wstępowania do kawiarni lub innego miejsca publicznego, może w fijakrze przejrzéć gazety, i tak czasu do interesów nie tracić.

Niespodzianka. Pewien Grek z wyspy Korfu, wróciwszy niedawno po 28letniéj niebytności do domu, zastał żonę swoję wprawdzie w najpożądańszém zdrowiu, lecz już po trzech nowych mężach owdowiałą!

Dawna rana. Zdarzyło się, iż jakaś kobiéta, chcąc się zagrzać przy mocno rozżarzonym żelaznym piecu, wyrytą na nim liczbę roku »1700« na plecach sobie wypiekła. Przywołany chirurg obejrzał znaki spalenizny, lecz postrzegłszy rok »1700« — »O, to zbyt zadawniała rana!« zawołał. »Téj ja się wyleczyć nie podejmuję.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.